

# ROZDZIAŁ 18

*Bartosz 'Rorsarch' Boroński*

*Zima, część 4*

13

Gniewny opowiedział Rorsarchowi historię człowieka, który nie odróżniał fikcji od rzeczywistości, o jego poszukiwaniach i kompanach podróży. O osadach na Polskim Pustkowie, o których istnieniu nie wiedział, o tajemnicach Upadłych i ich zbrodniach. I o nim samym, nieustannie poszukującym czegoś, o czym nie wiedział nikt. Pojawiał się epizodycznie, jako czyjeś wspomnienie, jednak nie odgrywał ważniejszej roli w opowieści, co go cieszyło. Jeszcze brakowało, żeby ktoś napisał książkę albo opowieść o jego przygodach. Mimowolnie zrozumiał bohatera, który przez swoją chorobę tracił zaufanie swoich towarzyszy, nie mogąc czasem odróżnić przeszłości od teraźniejszości. Świat, jaki znał Rorsarch, przeplatał się z wizją gawędziarza, która była niebanalna. Jednak najbardziej w tej historii zaciękała go spora ilość informacji, które były tajne. Tajemnicze homunkulusy przypominały mu o humanoidalnych robotach, Fallen o przypomniał mu z kolei o Projekcie o, mafie i historia Poznania były nadzwyczaj realistyczną przyszłością tego miasta po jego odejściu. Intrygujący, choć także mało dokładnie opisany był fakt znajomości Zero i doktora Steinmana.

— Solidna historia, naprawdę nie dziwię się, że ludzie cię słuchają. Ale tak między nami, wiesz naprawdę dużo, czyż nie? – powiedział po tym, jak Gniewny skończył swoją opowieść.

— Wynika z tego, że ty również wiesz niemało.

— Ciekawi mnie tylko, skąd ty wiesz pewne rzeczy.

— Powiedzmy, że ta historia została opowiedziana w czasach mojej młodości. Twoja historia. Historia tego świata.

— Powiedzmy, że ci nie wierzę.

— Wiem, że udasz się do Trójmiasta. Spotkasz tam część tego, czego obsesyjnie szukasz. I jeszcze jedno – dodał gawędziarz, wstając od stolika. – nigdy nie miej pustego buta. Wiem, to dziwne, ale kiedyś to zrozumiesz.

Rorsarch nie wiedział co o tym myśleć. Gawędziarz, który miał na kurtce wydrapany nożem napis "Wrathu" co mogło być wzorcem jego przezwiska, wiedział co robi. Słowa o bucie wprawiły go w konsternację, jedyną rzeczą poza skarpetą były tam noże do rzucania. To je miał na myśli? Dopił piwo, które zamówił podczas opowieści i wrócił do domu. Kolejną noc dręczyło go koszmary, jednak powoli słabły, chociaż czekał na wizytę denerwującej czaszki, gdyż zwykle ona kończyła takie koszmary. Lub je zaczynała. Rano wstał i wyszedł w trasę, chcąc poobserwować szlak karawan i znaleźć jakiś punkt zaczepienia w sprawie

Zdziczałych. Pomimo strat, jakie ponieśli pod Bydgoszczą, ich populacja nie zmniejszyła się. Przeniosły się na wschód, porywając wędrowców i napadając na karawany. Prowadzili nomadyczny tryb życia, jednak chyba zmieniły upodobania po ostatnich wydarzeniach. Musiały mieć gdzieś leże, w którym wyczywały między posiłkami i być może się rozmnażały. Na razie nie wiedział nic. Obsadził się w jakimś zniszczonym budynku koło głównego szlaku i wypatrywał. Pojawiali się pojedynczy wędrowcy, zdawało mu się, że widzi tam Gniewnego, jednak ani śladu Zdziczałych. Dopiero kiedy pojawiło się kilku ludzi, słabiej uzbrojonych, wyskoczyli dosłownie znikąd. Złapali ich i zaczęli konsumować, nie zważając na ich krzyki. Skręcili im karki i kontynuowali ucztę, nie wiedząc, że kilkadziesiąt metrów dalej przez lunetę celownika i okular gogli Rorsarcha spogląda oko, które właśnie wybrało cel. Padł strzał i jeden z kanibali legł bez ruchu. Spowodowało to pożądaną reakcję, czyli ucieczkę. Obserwując je przez lornetkę, stwierdził że znikają blisko starego zamku, który niegdyś służył Krzyżakom a dziś pełnił funkcje kolejnych bezużytecznych ruin. Przynajmniej dla ludzi. Starając się pozostać niezauważonym, pokonał dość długi dystans dzielący go od zamku i zauważył oznaki bytności Zdziczałych. Walające się po okolicy szczątki i ciała ich pobratymców, częściowo zjedzone. Jednak na naziemnym poziomie nie znalazł żadnego z nich, najprawdopodobniej, jak wszystkie mutanty, wybrały sobie na leże jaką zimną, wilgotną, ciemną jaskinię. Wyjął swój cenny pistolet energetyczny z amunicją, którą zdobył w Pile i ruszył do katakumb rozciągających się pod zamkiem. Noktowizor pomógł rozjaśnić ciemność, natomiast Zdziczali musieli w jakiś inny sposób radzić sobie z mrokiem. Szedł ostrożnie, starając się nie wywołać niepotrzebnego hałasu, żeby nie spłoszyć przeciwników. Przeszedł przez niemal całe podziemie i nie znalazł niczego, poza małą stertą ciał, z której wystawała niepokojąca, mechaniczna ręka. Myślał, że to niejadalna dla kanibali proteza, jednak przy bliższych oględzinach znalazł kolejne części mechanicznego ciała. W końcu znalazł głowę robota, z wyjedzonym mózgiem. Nie miał on żadnych oznaczeń, co do jego przynależności, poza numerami seryjnymi protez rąk: TK 477 i TK 455. Zastanawiało go, co robił tutaj robot i skąd się wziął. I czy był związany z dr Steinmanem, bo technologia była identyczna do tej używanej przez niego. Nie znalazł nigdzie pojemnika z pożywką, co było zastanawiające. Poprzedni robot, którego widział w Kutnie, miał duży pojemnik na plecach, tu nie znalazł nic takiego. Przeszukał jeszcze pomieszczenie i znalazł wszczep

domózgowy, pogryziony i obśliniony. Schował go do kieszeni, mając nadzieję, że będzie w stanie go rozpracować w późniejszym czasie. Usłyszał jakieś ryki i popiskiwanie, i postanowił schować się gdzieś, domyślając się, że to Zdziczali. Faktycznie, przybyli do tej komnaty ze świeżymi zwłokami i zaczęli konsumpcję. Jednak po skończonym posiłku wyszły na zewnątrz. Leże musiało znajdować się gdzieś indziej, tutaj musiały mieć coś w rodzaju jadalni. O ile poprzednie osobniki robiły wszystko w jednym miejscu, tak tejsze rozdzielały miejsca wykonywania tych czynności. Wyszedł z katakumb i starał się je wypatrzyć, jednak zachodzące Słońce nie dawało wystarczającej ilości światła. Wdrapał się na ostatnie piętro jakiegoś budynku i obserwował okolicę przez lornetkę. Po zmroku pojawiło się kilku Zdziczałych, niosących swoje ofiary do katakumb a następnie wyszły najedzone. To była szansa dla Rorsarcha. Szybko zszedł i podążył za nimi w bezpiecznej odległości. Opuścili obszar Starego Miasta i szli w stronę zbudowanego w połowie mostu na Wiśle. Przeszli przez plac wiecznej budowy i dotarli do starego fortu. Nikt się tutaj nie zapuszczał, ze względu na legendę o brutalnych porwaniach i rytualnych morderstwach popełnianych przez jakąś półinteligentną rasę. Miały to być Zieloniaki egzystujące w zbiornikach wodnych. Słyszał tę legendę kilka razy, a ostatnie wspomnienie o nich padło podczas opowieści Gniewnego. Jakkolwiek Zieloniaki były niemal ludzkie, tak utopce miały nie kontaktować się ze światem i mordować podróżnych przebywających nad rzekami i jeziorami. Skoro Zdziczali uznali to za bezpieczne miejsce do snu, albo te legendy pozostaną legendami albo jakoś dogadały się z utopcami. Zdziczali weszli do fortu natomiast Rorsarch przyczał się na wzgórzu nad nim i obserwował wyjście. Nad ranem zauważył ogromną gromadę oszalałych z głodu ludzi, wysypującą się z fortu. Więc to tutaj znajduje się ich leże. Zmęczony postanowił wrócić do miasta i poczekać aż ogłoszą poszukiwania leża, gdy z krzaków wyleciała pchnięta ogromną siłą włócznia, która wbiła się w ziemię obok Rorsarcha. Błyskawicznie przetoczył się w drugą stronę i wyszarpnął pistolet z wewnętrznej kieszeni płaszcza, celując nim w krzaki. Kolejne włócznie wylatywały z lasu i musiał uciekać na pobliską szosę. Schowany za samochodem wyjął karabin snajperski i zaczął celować do niewidzialnego wciąż wroga. Nagle zauważył ludzką sylwetkę, całą szarą, z włócznią w dłoni. Przypominała Zieloniaka, jednak jego skóra była ciemniejsza oraz wyglądał na pokrytego jakimś śluzem. Nie czekając zbyt długo wycelował w głowę i

strzelił. Kolejny przeciwnik, tym razem z prymitywnym łukiem, wyskoczył z zarośli i zaczął szukać przeciwnika. Korzystając z jego zagubienia, wystawił lufę przez wybitą szybę samochodu i pozbawił kolejnego utopca głowy. Nie mając czasu na katalogowanie kolejnego gatunku unikatowej fauny, zaczął uciekać pomiędzy samochodami w stronę Starego Miasta. Było to ładne parę kilometrów a przeciwnicy zaczęli wysypywać się z krzaków w dużych ilościach. Zastanawiał się, czym ich uraził, że rzucili się na niego w takiej ilości. Słyszając okrzyki przypominające “GNIAGNIAGNIAAAAAAAAAAAAAA” stwierdził, że musiał ich bardzo rozwścieczyć. Minął plac budowy i miał przed sobą perspektywę nazbyt długiego biegu. Pogoń nie odpuszczała, a on powoli opadał z sił. Nagle zauważył galerię handlową po prawej, w której postanowił się schować. Automatem drzwi nie miały zamiaru się rozsunąć, jednak ktoś był tu przedtem i wybił szklane szyby z nich, więc nie było problemu z dostaniem się do środka. Utopce zatrzymały się przed wejściem i otoczyły je. Niemal równocześnie usłyszał w swojej głowie głos “A więc, kolejny.”. Zobaczył jakiegoś człowieka, pozbawionego głowy, która była najprawdopodobniej rozbita o pobliską ścianę. W ręku trupa leżał stary, niemal zapomniany wynalazek – dyktafon na kasety. Wyjął go z dłoni trupa i odsłuchał. Głos człowieka łamał się co chwilę, przypominał raczej bełkot.

— Nie, nie odejdz! Nie dam rady, zawiodłem! Zostaw mnie, nie zniszczysz mnie! Ktokolwiek to usłyszysz, nigdy go nie uwalniaj! Nigdy! Groza nie może, zostaw mnie w spokoju! Nie pokonasz mnie!  
AIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIII

Gluch odgłos uderzenia zakończył nagranie. To wszystko przypominało bełkot jakiegoś obłąkanego, jednak zdarzały się momenty, kiedy był świadomy. Głos, który usłyszał zaraz po tym, jak tu wszedł, musiał być tym, co zgubiło tego człowieka. Ruszył w prawą stronę galerii, gdyż lewa była zablokowana a wejście było otoczone przez utopce. Co kilka kroków słyszał ten sam głos, mówiący mu że zginie. Starając się mu nie poddać, zmierzał . Głos stawał się coraz bardziej natarczywy, a gdy znalazł na podłodze kasetę, usłyszał potępieńczy pisk, który niemal powalił go na ziemię. Włożył kasetę do dyktafonu i wciąż leżąc, odsłuchiwał wiadomość.

— Miejscowe utopce niedawno opuściły swoje siedliska nad Wisła i zaczęły przejawiać agresję w stosunku do ludzi. Zagoniły mnie tutaj, nie wiem czemu. Wygląda na to, że oddają kult czemuś, co da się określić

jako uosobienie Grozy. Skoro mnie tu zagoniły, być może spotkam Grozę we własnej osobie.

Nagranie zakończył śmiech człowieka. Wstał, mając z tym pewne problemy i ruszył dalej. Centrum nie było o dziwo splądrowane, ale trupy ludzi na podłodze świadczyły o wielu próbach. Szedł dalej, gdy nagle zobaczył więzienną celę, w której właśnie wycinano komuś mózg. Stał w miejscu i nie mógł się ruszyć, musiał oglądać, jak odcinają temu człowiekowi głowę i jednocześnie podłączają jego mózg do maszyny, która go odżywiała. Wizja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła a jakaś niewidzialna siła pchnęła Rorsarcha na podłogę. Upadł koło kolejnej kasety, którą odsłuchał. Głos z kasety nie był już taki pewny siebie, zaczął być lekko przerażony.

— Nie wierzę w to co widziałem. Potwory z moich koszmarów przed chwilą przemaszerowały przez całą galerię. Cokolwiek wywołało tę halucynację, chciało mnie złamać. I ten głos, mówiący o śmierci. To wszystko jest tak realistyczne, ale to nie istnieje. Prawda?

Wstał i powoli ruszył dalej. Doszedł do jakiegoś dużego marketu, gdy ten zmienił się w jakieś miasto. Chodzili po nim uzbrojeni Zieloniacy, gdy nagle wpadły trzy granaty i zaczęły rozsiewać zabójczy gaz.

— Nieeeeeeeeeeeeeeeee! – zaczął krzyczeć, ponownie nie mogąc się ruszyć. – To nie istnieje, tego nie ma. – powtarzał sobie po cichu. Znów upadł na ziemię, koło kolejnej kasety. Drżącymi rękoma włożył ją do dyktafonu i włączył, trafiając z trudem w przycisk.

— Nie, to niemożliwe! – krzyczał głos. – Muszę wrócić, muszę. Nie, nie, nie. Muszę pokonać Grozę, ona tylko igra z moim umysłem.

Krótką notatką na chwilę rozjaśniła umysł Rorsarcha. Uosobienie terroru najprawdopodobniej skorumpowało utopce i być może przyciągnęło Zdziczałych. Poza tym upatrzył w tym swój prywatny cel. Zdeterminowany, ruszył dalej. Głos w głowie wciąż starał się go uświadomić, że jest martwy. Nie odpowiadał mu, chociaż czasem go to korciło. Im dalej szedł korytarzem, tym mocniejsze było nawoływanie. Przed oczami stawały mu najstraszniejsze wizje, które starał się zignorować. Doszedł do drzwi damskiej toalety i zobaczył wbity niedbale w ścianę gwóźdź a na nim kasetę. Zdjął ją i włożył. Usłyszał tylko krótkie zdanie.

— A więc dalej, prosto w legowisko Grozy.

Rorsarch roześmiał się, kiedy zrozumiał gdzie znajduje się legowisko Grozy. Otworzył drzwi od toalety i wszedł tam. Od razu

uderzyło go gorące powietrze a chwilę później samo pomieszczenie zapłonęło. A przynajmniej doznał takiej iluzji. Głos nasilał się coraz bardziej i powoli Rorsarch tracił nad sobą kontrolę. Otworzył drzwi od męskiej toalety i zobaczył człowieka przykutego do ściany. Sam jego widok rzucił go na podłogę, gdy nagle głos ucichł. Zaraz potem rozbrzmiał w zupełnie innej tonacji.

— Spójrz, co ze mną zrobili. — nawoływał błagalnie. — Pomóż mi, wypuść mnie. Ale pospiesz się, błagam.

Rorsarch chwiejnym krokiem zaczął podchodzić do niego i chciał już przestrzelić łańcuch, gdy nagle doznał przeblysku. Przypomniały mu się słowa, o tym, że Grozę trzeba zniszczyć. Kiedy tylko o tym pomyślał, głos zaczął krzyczeć, niemal zagłuszając jego wspomnienie, jednak to wystarczyło. Wycelował lufę w stronę głowy Grozy i ostatkiem sił nacisnął spust. Kiedy mdlejąc, padał na podłogę, wydawało mu się, że słyszy krótkie "dziękuję". Pierwszy raz od wielu dni nie męczyły go żadne koszmary. Kiedy wstał, po płomieniach nie było śladu a głos zniknął. Jediną pozostałością po poprzednim dniu był spalony szkielet, wystający z toalety. Zamierzał wyjść, kiedy napotkał utopców przed toaletą. Kiedy stwierdził, że już po nim, jeden z nich podszedł i powiedział:

— My dziękować. Ty uwolnić nas. Ty pokonać strach i terror. Nasza przyrzeka nie nękać twoja. My wybaczyć twoja plemię i nie naruszać ich teren łowiecki. My odejść i nie wracać. Radzić twoja to samo.

Po tym wyznaniu, wszystkie szare sylwetki odeszły, zostawiając Rorsarcha samego w centrum handlowym. Ten nie czekając długo, opuścił je i skierował się do Torunia, mając nadzieję, że koszmary zniknęły już na dobre. Zastanawiało go uosobienie Grozy. Wędrując przez Polskie Pustkowie słyszał kilka opowieści, o potężnych telepatach, którzy pojawili się zaraz po Wojnie, jak i o organizacji Stigmata Mortis, zajmującej się śledzeniem i chwytniem psioników. Mieli ich unieszkodliwiać i zamykać w odosobnionych miejscach, aby zginęli z głodu bądź wyczerpania. Z jakiś konkretnych powodów nie zabijali ich zaraz po schwytnaniu, tylko zostawiali na pastwę losu. Ponoć najlepszą metodą ich unieszkodliwienia była metalowa obręcz, zakładana na głowę telepaty. Tamten jej nie miał, ale z jakiegoś powodu nie uwolnił się z łańcuchów, trzymających go w męskiej toalecie. Zastanawiając się nad zagadką powstania telepatów, dotarł do osady.

Rorsarch wrócił do miasta i dostał wezwanie do siedziby Pancerniaków, znanej szerzej jako koszary Federacji. Dość spory budynek, nie wyróżniał się niemal niczym, poza brakiem rękawa, łączącego go z osadą. Kiedy przyszedł komendant, wpuścił Rorsarcha do gabinetu, posadził go na krześle i zaczął rozmowę:

— Jest pan jedną z niewielu osób, wiedzących o istnieniu humanoidalnych robotów. Zobowiązuję pana do zachowania w tajemnicy treści tej rozmowy. Tak jak niedawno pojawiały się sporadycznie, i nie nawiązywały kontaktu z ludźmi, ostatnio zaczęły być zauważane regularnie. Ba, zdarzają się przypadki agresji z ich strony. Staramy się utrzymać to w tajemnicy, jednak skala tego zjawiska stale się powiększa.

— Słyszałem co nieco o tym, powinniście wiedzieć, że ludzie zaczynają się powoli niepokoić.

— Właśnie dlatego postanowiliśmy podjąć odpowiednie kroki, w celu zlikwidowania tych robotów. Nie wiem wszystkiego, ale wskazano pana jako osobę, która powinna być informowana o wszystkim związanym z tym tematem, oraz umożliwienie brania udziału w operacjach przeciw androidom. Otóż przed Wojną, opracowywano już projekty robotów humanoidalnych, jednak niewiele z nich się powiodło, natomiast te udane były wykorzystywane w wojsku. Z obawy przed ewentualnym zagrożeniem ze strony wrogich państw, które również rozwijały tę technologię, opracowano prototypową bombę elektromagnetyczną. Unieszkodliwiłaby ona roboty i elektronikę na bardzo dużym obszarze, nie czyniąc szkody istotom żywym. Opracowywano ją w Kanadzie a 5 kwietnia 2044 roku statek 'Borealis' przybił do portu w Gdyni. Na pokładzie zawierał kontener, w którym umieszczono ten ładunek. Jest to dość spora rzecz, jednak podejrzewamy, że udałoby się nam przekształcić go w granaty EMP, które byłyby pożyteczniejsze w warunkach polowych. Jednak bez prototypu, który jest na pokładzie okrętu, nie damy rady. A przynajmniej nie w tak krótkim czasie. Posiadamy dwa skutery śnieżne, które będą w stanie dość szybko przetransportować was za granicę wiecznego śniegu, oraz kombinezony ocieplające. Jedynym problemem pozostaje komunikacja radiowa. Uruchamiamy system łączności, obejmujący tereny Federacji. Jednak tutaj pojawiają się dziwne zakłócenia, które uniemożliwiają kontakt na większe odległości. Nie mamy pojęcia o ich źródle ani lokalizacji, jednak dopóki nie znajdziemy ich źródła, nie wyruszyście w głąb Mroźnych



Pustkowi. Dlatego, jeśli chcesz się tam dostać, zlikwiduj zakłócenia. A i jeszcze jedno. Wysłałem kilku ludzi, żeby to sprawdzili i potem znaleziono to. – komendant rzucił na stół kilka kawałków zielonego pancerza, który wyglądał na przeżarty jakimś silnym kwasem.

– Gdzie znaleziono te fragmenty pancerza? – spytał Rorsarch.

– W dawnej przemysłowej części miasta, koło starej elektrociepłowni. Miejscowi nie zapuszczają się tam z powodu hord lamingów nawiedzających tę okolicę.

– Pójdę tam i sprawdzę, o co chodzi. W zamian proszę mi powiedzieć, co wiecie o telepatach.

– Telepatach? To legendy. Tak samo jak Stigmata Mortis.

– Od wczoraj jakoś nie sądzę, żeby był to mit.

– Spotkałeś jakiegoś? – spytał nagle podejrzliwie komendant.

– Powiedzmy, że tak. Z tym, że już nie żyje.

– Szkoda, naprawdę. Moglibyśmy go zbadać, rzecz jasna o ile nie był tylko twoim urojeniem. – rzucił przez zaciśnięte zęby wojskowy.

– Ta, wielka szkoda. – zachowanie komendanta było dość tajemnicze i sprawiało, że historia o telepatach zaczynała być coraz bardziej zastanawiające. – Ja już pójdę, dziękuję za informacje.

Rorsarch wstał i wyszedł, kierując wpierw swoje kroki do najbliższego baru. Wziął kolejkę i zaczął podpytywać barmana:

– O co chodzi z tą dawną elektrociepłownią?

– Wiesz, dawniej grasowały tam lamingi, miały swoje gniazdo, jednak teraz nikt tam nie chodzi. Chodzą pogłoski o gigantycznym stworze, plującym kwasem i pożerającym wszystko co się rusza. Ponoć wygląda jak jaszczurka, jednak jest wzrostu dwóch ludzi a długi na trzy metry. Nikt nie przebywał tam na tyle długo, żeby widzieć coś więcej.

– A wiesz cokolwiek o telepatach?

– To tylko legendy. Tak przynajmniej utrzymuje Federacja. Ale – dodał ściszym głosem. – niedawno pojawił się ktoś, kto utrzymywał, że był pod wpływem jednego z nich gdzieś w okolicy. Podobno miał przed oczyma straszne wizje i cudem uniknął samobójstwa. Nie afiszował się z tym zbyt, po tej całej historii z robotami.

– Hmm, dzięki za wszystko.

Wstał i odszedł od baru, po drodze wpadając do mieszkania i zabrał karabin. Dzielnica przemysłowa leżała kawałek drogi od schronu, podczas której zauważył kilku innych wolnych strzelców, wykonujących płatne misje od Federacji i innych zleceniodawców. Zburzony w połowie komin

elektrociepłowni niegdyś zapewne dominował nad miastem, jednak dziś ledwie był widoczny z dalszej odległości. Szedł jakąś szosą, gdy czujnik ruchu wychwycił ruch w pobliskich ruinach. Rorsarch błyskawicznie schował się w przydrożnym rowie i zaczął się przyglądać budynkowi. Po dłuższej chwili zza rogu wyłoniła się horda lamingów. Około dwunastu śnieżnych psów, szukało pożywienia w tej części miasta. Nie mając żadnej broni, którą by szybko wyeliminował całą grupkę, siedział dalej w ukryciu i obserwował ruchy swoich przeciwników. Te zaś kręciły się po okolicy, wymachując ogonami i komunikując się pomrukami i krótkimi szczeknięciami. Nagle jeden z nich zawył i wszystkie ruszyły w pogoń za Zdziczałym, który najprawdopodobniej się przestraszył i nie wiedział co robić. Lamingi błyskawicznie podgryzły jego nogi, a gdy upadł na ziemię, przegryzły jego szyję. Zajęte konsumpcją, nie zauważyły Rorsarcha, który skorzystał z okazji i przekradł się do ruin, uznając je za bezpieczniejszy sposób podróży. A dokładniej ich dachy. Wspiął się na górę najbliższego budynku i zobaczył kolejne gromadki lamingów. To znaczyło, że nie dotarł jeszcze do domniemanego leża tajemniczego stwora, bądź miejscowi kręcili na temat zniknięcia śnieżnych psów. Jednak wciąż spora odległość dzieląca go od elektrociepłowni, wskazywała na pierwszą wersję. Logiczne było, że lamingi wypłoszone ze swojej siedziby, wyruszyły szukać swojego terytorium łowieckiego gdzieś indziej. Roilo się wręcz od nich na powierzchni, więc Rorsarch starał się przechodzić po dachach bądź ich pozostałościach. Czasem go zauważyły, jednak widząc, że jest poza zasięgiem, ruszały dalej. Zawalony komin zbliżał się nieubłagane a populacja lamingów malała. Dało się zaobserwować zniszczone ściany, które wyglądały jakby zostały czymś wypalone. Zszedł na ziemię i powoli szedł. Gdzieniegdzie leżały fragmenty komina, rozrzucone w nieładzie przez jakąś fale uderzeniową. Nagle znalazł kawałek zielonego pancerza i rękawicy, razem z kawałkami kości i gnijącego mięsa w środku. Ręka trzymała wciąż granat, który Rorsarch wziął. Doszedł w końcu do budynku, który nie miał jednej ściany, przez co szybko dało się zauważyć ogromną dziurę w suficie jak i w podłodze. Zbliżając się do niej, czujnik ruchu zasygnalizował poruszenie w głębi hali, która była zagracona. Przezornie schował się za pobliską ścianę i zaczął rzucać kawałkami gruzu, mając nadzieję, że wywabi tajemnicze coś z kryjówki. Jak tylko trafił w dziurę, co poskutkowało metalicznym dźwiękiem, gigantyczna, brunatna jaszczurka z grzebieniem na plecach, wyskoczyła na środek hali i splunęła porcją białawej śliny, która wyleciała

przez brakującą ścianę. Zastanawiając się, jak pokonać mutantą, Rorsarch przycelował w oko jaszczurki i strzelił, przez co gargantuiczny okaz fauny zorientował się, że istnieje jakiś przeciwnik i zaczął pluć we wszystkie strony, powoli wypalając ściany. Nie mogąc ruszyć się zza osłony, Rorsarch czekał na dalszy rozwój sytuacji, gdy nagle usłyszał metaliczny dźwięk i potwór zaczął się dziwnie trząść. Kawałek stropu wpadł do dziury i uderzył w jej zawartość. Gdy tylko dźwięk zniknął, mutant dalej pustoszył okolicę. Rorsarch nie czekał, aż cała hala się zawali i wrzucił kawałki gruzu do dziury, paraliżując przeciwnika co jakiś czas. Poza oczami był jednak kuloodporny i żadna próba przestrzelenia jego czaszki nie dała rezultatu. Wtedy wpadł mu do głowy szalony pomysł. Wyjął nóż i granat, rzucił kawałek gruzu do dziury i podbiegł do mutantą, rozcinając jego podbrzusze, do którego włożył odbezpieczony granat. Uciekając do końca hali, odwrócił się, aby zobaczyć jak powojenny Dimetrodon zostaje rozerwany od środka. Pokonawszy przeszkodę, postanowił zbadać tajemniczą dziurę, która bardzo mu pomogła. Kiedy do innej podszedł, zauważył starą, dużą, metalową kulę z wrytą flagą Związku Radzieckiego i datą 1985. Sfera wibrowała co chwilę, najprawdopodobniej emitując jakieś ultradźwięki. Wyglądało na to, że to ona ściągnęła tu jaszczurkę, która musiała być zdeterminowana, aby bronić tego sygnału, jednak gdy zmieniało się jego brzmienie, choć na chwilę, instynkt musiał zatrzymać Dimetrodona. Sam potomek Sputnika musiał spaść niegdyś z orbity i wylądować tutaj, emitując wciąż jakiś sygnał. Dzięki uszkodzeniu powierzchni kuli, Rorsarch otworzył ją i zniszczył toporną elektronikę, zatrzymując nadawanie nieznanego sygnału. Wrócił tę samą trasą do miasta, gdzie zdał relacje ze swojej walki z mutantem oraz o unieszkodliwieniu radzieckiego nadajnika. Zgodnie z jego przewidywaniami, komunikacja radiowa zaczęła działać. Od razu zapoznał się ze szczegółami całej akcji, oraz wysłuchał najnowszych komunikatów nadawanych na Czwartym Kanale, który był oficjalnym cywilnym kanałem informacyjnym Federacji. Wspomniano o trwającym wciąż naborze do sił zbrojnych, nagrodzie za złapanie kilku przestępców, którzy dokonali brawurowego napadu na karawanę, udanym rozbiciu kolejnego gangu, który rozprowadzał fałszywy Grzybogrzew oraz komunikat specjalny, w którym zabroniono zbliżać się do Warszawy, ze względu na rosnące drastycznie wartości promieniowania. Najbardziej zaintrygowała go ostatnia wiadomość, którą postanowił sprawdzić własnoręcznie przy najbliższej okazji. Na razie jednak miał zielone

światło, do wyruszenia z trójką ludzi głęboko w Mroźne Pustkowie, aby pozyskać cenną broń w nieuchronnej walce z humanoidalnymi robotami. Postanowił na razie nie zajmować się sprawą telepatów, a skupić się na walce z robotami, które przybliżyły go do odnalezienia Steinmana. Odebrał od kwatermistrza specjalną odzież i broń, która działała w ekstremalnych warunkach pogodowych, kluczyki do skutera i komunikatory krótko i długofalowe. Spotkał się na odprawie z trójką ludzi, z którymi walczył z Sarlaccem.

— Panowie, zadanie jest nieskomplikowane ale diabelnie ważne. — zaczął komendant, w wyraźnie lepszym humorze. — Musicie odzyskać prototypową bombę elektromagnetyczną, znaną pod nazwą kodową 1899—6396. Znajduje się ona na pokładzie okrętu 'Borealis', znajdującego się w dniu 6 kwietnia 2044 w Gdyni. Samo miasto nie zostało trafione bezpośrednio, ale ekstremalnie niska temperatura utrudni wasze działania. Poza jedynym zwiadem, jaki tam wysłaliśmy pół roku temu nie mamy informacji na temat okolicy. Nie wiemy, co tam może żyć i czy da się dostać do okrętu. Jeśli bomba będzie uszkodzona, bądź nie znajdziecie jej, ostatnią szansą będzie zdobycie przewożonych z nią planów konstrukcyjnych, które znajdowały się również na pokładzie. To wszystko, jutro o 7 rano podstawimy skutery.

\*

Nad ranem Rorsarch i trójka komandosów stawili się przed osadą, gdzie czekały dwa dwuosobowe skutery napędzane ogniwami termojądrowymi. Z braku śniegu miały zostać przetransportowane ciężarówkami do Grudziądza, gdzie po przekroczeniu Wisły, mieli pojechać dalej sami. Po niecałej godzinie, jechali już na skuterach, odziani w płaszcze ciepłe. Ze wskazań termometru, zainstalowanego na skuterze, temperatura spadała błyskawicznie, jak w Toruniu było to 8°C tak w Grudziądzu już -5°C a teraz, w okolicach Starogardu Gdańskiego, gdzie dotarli po niecałej godzinie wynosiła już -28°C. Pokrywa śnieżna była niesamowicie gruba i sięgała najprawdopodobniej trzeciego pietra, tak można było wywnioskować z wystającego ledwo jednego piętra bloków. Życie nie funkcjonowało w tych warunkach, przynajmniej nie zauważyli żadnego stwora w okolicy. Od Gdyni dzieliła ich blisko godzina drogi, kiedy Rorsarch zwolnił i zaczął rozglądać się na boki. Wydawało mu się, że zauważył jakiś ruch, gdy strumień zjonizowanej energii

przeleciał nad jego głową. Błyskawicznie zeskoczył ze skutera i schował się za nim, jednocześnie starając się dojrzeć przez wizjer maski ochraniającej jego twarz przed zimnem, strzelca. Komandosi zrobili to samo i wszyscy z wyjętą bronią czekali na kolejne strzały. Nagle zauważył jakąś ludzką sylwetkę, a za nią dwie kolejne. Przetarł grubą rękawicą szybką oddzielającą go od świata zewnętrznego i rozpoznał roboty, które jakimś cudem działały w tak niskiej temperaturze. Mieli broń energetyczną, jedyną zdolną do działania w takiej temperaturze, przystosowaną specjalnie do grubych rękawic, jednak przy tych warunkach nie mieli więcej niż 50-100 metrów zasięgu, gdyż plazma błyskawicznie oddawała ciepło do otoczenia i szybko zniknęła. Ich przeciwnicy byli uzbrojeni w broń o większym zasięgu i innej technice działania, jednak teraz weszli już w zasięg broni Rorsarcha, o czym poinformował na kanale komunikacyjnym swoich kompanów. Na dany przez niego sygnał, wychylili się i odstrzelili dwóm robotom głowy, trzeci stracił rękę, przez co nie mógł skutecznie używać karabinu, jednak próbował strzelać jedną ręką, co było zatrważająco nieskuteczne. Szybka seria pozbawiła go jednostki centralnej i wszyscy podeszli, obojętnie zniszczone androidy. Nie posiadały żadnej powłoki, jedynie metalowy szkielet, izolowany pojemnik na plecach z odżywką dla mózgu, broń i zapas amunicji. Jeden z nich posiadał dziwny karabin, zasilany na szczęście popularnymi ogniwami. Rorsarch podniósł go i z trudem wystrzelił na próbę. Żółty promień przemknął błyskawicznie i trafił w oddaloną ścianę, powodując jej zwęglenie. Wyglądał na mocno zmodyfikowaną snajperską broń energetyczną, optyczny celownik wspomagany cyfrowym potwierdzał tę tezę. Jego strój nie pozwalał mu użyć tej broni ale zarzucił ją na plecy w celu późniejszego wykorzystania. Pojechali dalej, donosząc do bazy o napotkaniu humanoidalnych robotów. Po godzinie dojechali do Gdyni, gdzie schowali skutery w zniszczonym hangarze i ruszyli w głąb miasta. Nie posiadali pancerzy, gdyż ograniczałyby one drastycznie ich ruchomość w tych warunkach. Termometr wskazywał  $-63^{\circ}\text{C}$ , a zaczynająca się zamieć śnieżna obniżała jeszcze temperaturę. Ich okrycie miało wystarczyć na dwadzieścia godzin ogrzewania w temperaturze  $-55^{\circ}\text{C}$ , jednak teraz mogło to się zmniejszyć nawet o połowę. Nie znali położenia statku, więc kierowali się w stronę morza. Nie zapadali się zbyt głęboko w śniegu, pomimo braku rakiet. Stary śnieg stanowił solidną skorupę a świeży opad nie sięgał im powyżej kolan. Szli tak, rozglądając się uważnie na boki i przecierając co jakiś czas

zaśnieżony wizjer. Komunikowali się dzięki systemowi łączności krótkofalowej, zainstalowanego w ich maskach. Nagle jeden z żołnierzy kazał się czołwać i wszyscy wskoczyli do pobliskich budynków, a raczej na ich dachy, bo pokrywa sięgała niesamowicie wysoko. Ulicą, którą mieli zaraz przeciąć, przeszło kilka robotów, uzbrojonych po zęby i o dziwo unoszących się kilka centymetrów nad śniegiem.

— Psst, lewa strona bierze tego bliżej nas, my bierzemy tego co jest bardziej oddalony. — powiedział Rorsarch. — Na trzy, raz, dwa, trzy!

Kilka pocisków wyleciało zza tunelów wentylacyjnych i drzwi prowadzących do wnętrza budynku. Zaskoczone androidy nie zdążyły zareagować, ich czaszki zostały momentalnie stopione. Rozglądając się uważnie na boki, podeszli do zniszczonych robotów i obejrzelili ich dolne kończyny. Mieli zamontowane coś w rodzaju małego emitera pola siłowego, dzięki któremu nie zapadły się w śniegu. Niestety były one wmontowane na stałe i nie dało się ich przełożyć do ocieplanych butów. Maszyny o dziwo nie posiadały żadnych pancerzy, co czyniło z nich łatwy cel, więc Rorsarch zaczął się zastanawiać, czemu Federacja wycisza wszelkie informacje o nich. Komandosi wyglądali na wtajemniczonych, gdyż nie dyskutowali o tym na kanale łączności. Jednak przecznicę dalej, zrozumiał czemu są takim zagrożeniem. Zauważyli robota, odzianego w potężny pancerz, trzymającego dwuręczną wyrzutnię rakiet w jednej dłoni. Więc oni spotykali dotychczas jakiś zwiadowców, natomiast jednostki bojowe były o wiele lepiej wyposażone. Podejmowanie walki z tym molochem nie było sensownym pomysłem, więc przemknęli pomiędzy wystającymi ze śniegu warstwami budynków. Zamieć przybierała na sile, ale zapewne roboty były wyposażone w system wykrywania promieniowania cieplnego, więc stawali się coraz łatwiejszym celem. Zamarznięte ściany zapewne dawały im jakąś osłonę przed wrogimi wizjerami, ale nie na długo. Do nabrzeża była jeszcze spora droga, przynajmniej żurawie portowe znajdowały się dość daleko. Spotykali coraz więcej androidów, które wyraźnie strzegły okolicy. Nie staczali z nimi walk, gdyż nie byli pewni o ich systemie komunikacji. Mogły porozumiewać się radiowo i zaalarmować wszystkie roboty w okolicy, a wtedy Rorsarcha i resztę ludzi czekała pewna śmierć. Skradanie zajmowało czas, którego brakowało. Nareszcie dotarli do jakiegoś wzniesienia, a gdy się na nie wdrapali, przez zaśnieżone okulary pierwszy raz po Wojnie zobaczyli Bałtyk. A raczej to co się z nim stało.

Gigantyczna lodowa pustynia rozciągała się daleko na północ, zaraz od nabrzeża. Z daleka widać było kilka czarnych kropek na lodzie oraz dwa duże statki, w większości zasypane po burtę. Z tego powodu nie było widać ich nazw, przez co musieli wybrać, który statek zbadać najpierw. Zaraportowali do bazy o dotarciu na nabrzeże, ale komunikacja kulała z powodu zamieci. Otrzymali jedynie informację, że 'Borealis' miał niebiesko—pomarańczowe poszycie. Jeden z żołnierzy zauważył te dwa kolory na jednym z nielicznych odsłoniętych fragmentów kadłuba statku i do niego postanowili się udać. Pokrywa z jakiś powodów obniżała się i odsłaniała niesplądrowane miasto. Nikt nie miał pojęcia kiedy śnieg opanował tę część Pustkowi, nazwaną z tego powodu Mroźnymi Pustkowiami. Kiedy ludzie opuścili toruński schron, śniegu miało jeszcze nie być, jednak nikt w Toruniu nie chciał mówić o przeszłości miasta. Średni czas przebywania w schronach wynosił od dwudziestu do trzydziestu lat, choć ludzie jakimś cudem przetrwali w piwnicach i innych prowizorycznych schronach i nie zważając na promieniowanie, organizowali się w małe osady. Ci ludzie umierali szybko, dopiero druga generacja ludzi, która opuszczała schrony od jakiś trzech lat, była lepiej przystosowana. Teoretycznie powinny istnieć jeszcze jakieś schrony, z którymi utraciono łączność, ale nie zostały zniszczone. Toruński miał otworzyć się dziesięć lat temu, jednak o ogrzewanie zadbano dopiero dwa lata temu, co znaczyło tyle, że lodowiec dopiero przybył, niosąc ze sobą ochłodzenie. Temperatura w środkowej i południowej części Polski podniosła się nieco, jednak nie na tyle, aby zamienić ją w spaloną słońcem pustynię. Było znośnie, ale deszcz był rzadkim zjawiskiem. Same Mroźne Pustkowie było częścią składową Polskiego Pustkowie, które dzielono jeszcze na Świecące Pustkowie, obejmujące Warszawę i wschodnią Polskę, nazwane tak z powodu promieniowania, wykrytego przez zwiadowców i Niezbadane Pustkowie, czyli wszystko co leżało za zachodnią granicą. Z powodu obecności nazistów w tych okolicach, nikt nie wybierał się tam bez wyraźnej potrzeby. Resztę przedwojennego terytorium Polski określano po prostu Polskim Pustkowie. Nikt nie wiedział, co się stało z innymi państwami POG, jak i z Rosją. Co prawda z Niemiec przybyli faszyci, pustoszący co się da, wschodnia granica wyglądała na nieprzebytą natomiast południe Pustkowi pozostawało niezbadane. Nikt nie miał ochoty zapuszczać się w góry, ryzykując napotkanie niespotykanych dotychczas mutantów. O ile podobno kiedyś nawiązano łączność z jednym z czeskich schronów, umilkła po kilku

dniach, tak reszta sieci komunikacyjnych nie działała. Impulsy elektromagnetyczne skutecznie uszkodziły niezabezpieczoną na tę ewentualność część infrastruktury, zdając schrony na pastwę łączności kablowej, która zakopana w ziemi przetrwała, jednak po kilku miesiącach zaczęły się problemy aż w końcu zamarła.

Zbliżyli się do statku, który okazał się nie do końca opuszczony. Roboty patrolowały zarówno okolicę jak i jego pokład. W większości były to poważnie opancerzone jednostki, więc nie mieli szans w bezpośredniej walce. Zamieć wzmagała się i musieli szybko znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do wnętrza statku. Wykorzystując osłonę z budynków, przekradli się na skute lodem morze, dowiadując się, czym są te czarne kropki. Były to spore przeręble, otoczone dziwnie znajomą, zieloną mazią. Starając się nie rozważać szans przeżycia morskiego Sarlacc w tych warunkach, Rorsarch ponaglił ludzi, którzy zaczęli przy użyciu karabinów plazmowych wypalać dziurę w kadłubie. Wyjący wiatr zagłuszał najprawdopodobniej odgłosy topionego metalu i strzałów. Po chwili wysiłku udało im się zrobić otwór, przez który byli w stanie wejść na statek. Trójka żołnierzy weszła już na statek, gdy z przerębła wysunęła się niebieskawa macka. Rorsarch nie czekał zbyt długo i wskoczył do statku. Macka natomiast zaczęła najprawdopodobniej wspinać się po kadłubie, tak można było wywnioskować ze stukotu. Sam okręt w środku był zachowany w całkiem niezłym stanie, pomijając fakt, że wszystko było zamarznięte. Byli w jakiejś kajucie, zadbanej z łózkami i skrzynkami pod ścianą. Otworzyli ostrożnie drzwi i wyjrzeni przez nie. Ten pokład wydawał się opuszczony, więc wyszli z pomieszczenia i ruszyli ostrożnie przed siebie. Nawiązali łączność z bazą, niknącą momentami przez zamieć, ale dowiedzieli się o znalezieniu planów statku w systemie komputerowym. Plany miały znajdować się w kajucie kapitańskiej na ich poziomie, gdyż tam znajdował się sejf, natomiast sama ładownia pokład wyżej. Znalezienie kajuty kapitańskiej było problemem, ze względu na niewiedzę, gdzie oni teraz są. Dowiedzieli się, że znajduje się koło windy, gdy komunikatory zamarły. Nagle usłyszeli trzask rozdieranej stali i odgłosy strzałów. Najprawdopodobniej morski Sarlacc niesiony przyływem artystycznego natchnienia, formował statek w nieco inny kształt niż ten przewidziany przez architektów. Zastanawiając się głośno, skąd wziął się tutaj Sarlacc, czym się żywił i jakim cudem przetrwał pod lodem, całą czwórka zaczęła biegać i szukać windy. Kiedy doszli do mało pocieszającego wniosku, że żyją tutaj jeszcze jakieś mutanty, którymi się



żywił, znaleźli windę. Drzwi obok musiały należeć do kajuty kapitańskiej, gdyż jako jedyne posiadały cyfrowy zamek, który rzecz jasna nie działał. Po krótkiej rozmowie zamka i rozgrzanej plazmy, pomieszczenie otworzyło swe podwoje. Upragniony sejf znajdował się jednak na środku kajuty, a przynajmniej znajdował się tam jakiś czas temu. Dziura w podłodze w kształcie rombu sugerowała, że sejf postanowił odbyć podróż do wnętrza statku kiedy Sarlacc postanowił go zniszczyć. Rorsarch spojrzął do dziury i sejf leżał pokład niżej, w mesie. Nie namyślając się długo, wskoczył do niej a za nim trójka komandosów. Wspólnie podnieśli szare, stalowe pudło i pomimo wstrząsów, które wywoływał co chwilę morski robak, postawili go na podłodze. Jeden z żołnierzy błyskawicznie zaczął topić zamek sejfu, co po chwili poskutkowało jego otworzeniem oraz spaleniem zawartości. Nie mając wyboru, ruszyli szukać schodów. Nagle cały statek zaczął się trząść, a przez bulaje dało się zauważyć pękający lód. Starając się nie myśleć, co to, pobiegli niesamowitym tempem do zauważonych uprzednio schodów. Wbiegali po nich, zauważając na pokładzie mieszkalnym niebieską mackę, demolującą właśnie w najlepsze kajutę kapitana. Kiedy dostali się do ładowni, była już opuszczona przez roboty, które najprawdopodobniej zostały zgniecione przez Sarlaccę. Szukając odpowiedniej numeracji na kontenerze, Rorsarch wyjrzał przez bulaj i zamarł. Morski robak wynurzał się z dna, podnosząc cały statek na swoim cielsku. Oplótł 'Borealis' mackami i zaczął się nerwowo miotać z nim na plecach. Nagle jeden z żołnierzy krzyknął, że znalazł kontener. Oznaczenie, napisane wyblakłą farbą liczby 1899—6396, upewniły ich, że oto to czego szukali. Przetopili zamek i otworzyli go. W środku znajdowała się niewielka, kwadratowa skrzynka, przypięta do podłogi kontenera. Po jej otworzeniu, zauważyli wyposażoną w klawiaturę i kilkanaście cewek bombę. Już mieli ją zabrać, gdy statek zadrżał i poczuli, że się przemieszcza. Podbiegli do bulajów, i zauważyli oddalające się nabrzeże. Weszli natychmiast na górny pokład i zauważyli kilka robotów, strzelających do wszechobecnych macek. Zastrzelili zarówno macki jak i roboty i spojrzeli w dół. Statek przecinał lód, dzięki podwodnemu silnikowi marki Sarlacc, który zaczynał jęczeć. Kierowali się w stronę morza, ale po chwili zaczęli skręcać i ruszyli na Gdańsk. Robak zaczął wydawać z siebie coraz mocniejsze jęki, powodujące pęknięcie kadłuba i uszkodzenia wszystkiego co było szklane na statku. Bojąc się o wizjery masek, zeszli pod pokład i zabrali ze sobą bombę, oraz przymocowali do niej kawałki skrzynki,

robiąc z nich prowizoryczne narty. Tymczasem statek sunął wciąż do przodu, łamiąc lód i przyprawiając Sarlacca o coraz większy ból, jak dało się wywnioskować z narastających jęków. Kiedy zbliżyli się do nabrzeża, ustały one a statek powoli zaczął wyhamowywać, jednak nie powstrzymało go to przed uderzeniem w pobliskie budynki i pokrywę śnieżną. Wbijając się na kilka metrów, zaczął się przechylać na lewą burzę po czym oparł się o jakąś solidniejszą konstrukcję i został już w takiej pozycji. Idąc wręcz po ścianie, Rorsarch z komandosami wyszli na dach jakiegoś bloku i obejrzeni to, co pozostało ze statku i Sarlacca. Mutant, długi na jakieś dziesięć metrów, a przynajmniej tyle wystawało z wody, leżał na nabrzeżu, ciężko dysząc i obficie krwawiąc na niebiesko z wyrwanych macek, które wciąż oplatały 'Borealis' i gigantycznego rozcięcia na grzbiecie, które zostało wykonane przez kil statek. Nie różnił się poza kolorem od swojego pobratymca w Pile, może rozmiarowo przewyższał lądową odmianę. Sam statek był porozrywany na górze, natomiast dół był lekko uszkodzony, ale nie na tyle, aby zatopić go podczas tej krótkiej przejażdżki. Wyciągnęli prowizoryczne sanie i ruszyli do Sopotu, przez który powinni dotrzeć do Gdyni. Miało to zająć im jakąś godzinę pieszej drogi. Dyskutując nad obecnością robotów na statku, rozpoczęli podróż, mając nadzieję, że starczy im energii w skafandrach.

\*

Łączność z bazą nie mogła zostać nawiązana, z powodu szalejącej zamieci. Ciągnięcie sanek z bombą nie należało do najwygodniejszych zajęć przy tej pogodzie, ale nie było wyboru. Minęli już Sopot, z którego niewiele widzieli, gdyż był wyjątkowo zasypany śniegiem. Wiatr wiał prosto w ich maski, więc co chwila przecierali je grubymi rękawicami, aby cokolwiek widzieć. Mieli wytrzymać w tych warunkach może jeszcze dwie godziny, zanim zasilanie kombinezonów się wyczerpie i zaczną błyskawicznie zamarzać. Kiedy dotarli do Gdyni, zauważyli pojedyncze sylwetki robotów, jednak omijali je bez przeszkód. Zatrzymali się i obserwowali w powoli milknącej zamieci dziwny pochód kilku robotów w pancerzach, niosących sporych rozmiarów kontener. Miały wybitnie nadludzką siłę, wypływającą z ich szkieletu, zapewne wzmacnianego egzoszkieletem. Dało się zauważyć jedynie oznaczenie numeryczne namalowane na boku, 4724. Androidy udały się z tajemniczym kontenerem na wschód, zabierając ze sobą resztę robotów, natomiast

Rorsarch dotarł ze swoimi ludźmi do skuterów, które przetrwały w nienaruszonym stanie. Odpalili je i przymocowali do jednego z nich cenny ładunek, po czym odjechali na południe. Po drodze nawiązali łączność z bazą i donieśli o powodzeniu misji. Wypyтали też o tajemniczy kontener i dostali odpowiedź, że w liście przewozowej figuruje jako 'ładunek cybernetycznych kończyn humanoidalnych'. A więc w ten sposób roboty zdobywały części do konstrukcji. Sam 'Borealis' miał posiadać kilkadziesiąt takich kontenerów, co połączone z obrazem pustej ładowni, stanowiło przerażającą informację. Androidów musiało być coraz więcej, jednak jeden element konstrukcyjny nie znajdował się zapewne na statku. Do poprawnego działania potrzebny był ludzki mózg, a te nie znajdowały się w kontenerach tylko w ludzkich czaszkach. Skąd roboty brały takowe? Nikt dotychczas nie donosił o porwaniach czy napadach androidów, z drugiej strony cenzura Federacji mogła ukrywać takie wydarzenia. Kombinezon piszczeniem zakomunikował niski stan baterii, jednak temperatura wzrosła już do  $-28^{\circ}\text{C}$  i sam w sobie, bez ogrzewania, stanowił wystarczającą ochronę przed mrozem. Przypomniał sobie słowa gawędziarza, o części tego czego poszukuje. Roboty były na pewno ważnym elementem zagadki dr Steinmana i zapewne to odkrycie przybliżyło go do jego odnalezienia. Kiedy dojechali do Grudziądza, czekali na nich żołnierze Federacji, którzy natychmiast uwolnili ich z ocieplającej odzieży i zwrócili ich własną. Płaszcz, kapelusz, rękawice, gogle, chusta. Elementy odzieży, których Rorsarch niemal nigdy nie zdejmował. Skórzane elementy jego stroju i nakrycie głowy otrzymał kiedyś w krakowskim schronie, gogle zdobył jakiś czas po jego opuszczeniu a chusta z dość oryginalnym wzorem wpadła mu w ręce jeszcze przed Wojną, ale przypomniał sobie o niej, kiedy włożył rękę do spodni, w których wszedł do podziemnego schronienia, a które założył dzień przed wyruszeniem w Pustkowie. Z wielką radością przyodział się oraz odebrał swoją broń, oprócz karabinu snajperskiego, który zamienił na zdobyczny karabin laserowy. Kiedy się odziali, wsiedli do ciężarówek i spożywając posiłek, wyjechali z Grudziądza.

W mieście zaraz zostali skierowani do koszar, gdzie czekał już na nich komendant. Pogratulował im sukcesu, po czym zaprosił Rorsarch do gabinetu. Nalał mu jakiejś przedwojennej nalewki i zaczął niespodziewaną rozmowę.

— Musisz wiedzieć, że telepaci to nie legenda. Rzeczywiście pojawiają się od czasu do czasu na Pustkowiach i sieją niemałe

spustoszenie. Stigmata Mortis to grupa ludzi, która szuka oznak ich aktywności i więzi ich w opuszczonych miejscach. Jako Federacja spotkaliśmy się z jednym takim przypadkiem, przynajmniej tyle udokumentowano. Jeden psionik wymordował całą drużynę, rzucając nią po ścianach. Snajperzy byli bezskuteczni, jakimś cudem zakrzywił tor pocisków, przez co mijały go w bezpiecznej odległości. Stygmaci, bo tak nazywa się członków Stigmata Mortis są uzbrojeni w prototypową broń laserową, którą jak widzę też posiadasz. Żaden telepata nie jest w stanie zakrzywić tego strumienia cząsteczek, przez co jest to idealna broń do polowań na nich. Jednak Stygmaci nie mordują psioników. Nie wiem dlaczego, ale pozostawiają ich na długotrwałe męki, przykutych do ścian, z metalowymi obręczami na głowach, skutecznie hamującymi ich zdolności. Nigdy nie udało się nam z nimi skontaktować, pomimo kilku prób. Jedyne co ustaliliśmy, to że ich emblematem jest trupia czaszka wkomponowana w koło zębate. Nie są oni wrogo nastawieni do innych ludzi, przynajmniej nigdy nie zaobserwowano ich w miejscach jakichkolwiek morderstw. Po prostu podróżują w grupach i chwytają telepatów. Ich nieuchwytność sprawia że stają się kolejną legendą, tak jak telepaci, jednak ostatnio zaobserwowano kilku ludzi z takimi emblematami na Świecących Pustkowiach. Powstają tam małe osady i czasem spotka się w jakiejś knajpie jednego z nich. Cokolwiek tam się dzieje, jest to związane z nimi. Dlatego, jeśli zamierzasz ich szukać, najlepiej zacząć tam. A póki co, Strażnicy bardzo chcieli się z tobą skontaktować. Jutro odjeżdża ciężarówka z żołnierzami do Radomia, więc będzie mogła cię zabrać ze sobą. Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc i mam przyjemność poinformować cię, że kiedy po drodze do Strażników dotrzesz do Kutna, zostaniesz awansowany na majora wojsk Federacji, co być może pomoże ci w twojej misji.

— Nawet nie wiedziałem, że jestem w waszym wojsku. — zauważył zmęczony Rorsarch.

— Teraz już tak. Jeśli nie masz żadnych pytań, możesz iść.

Rorsarch dopił koniak i wykończony dotarł do swojego bloku, gdzie natychmiast położył się spać. Wstał nad ranem, zjadł śniadanie, pożegnał się z Jerzym i wyruszył w podróż do Radomia. Zatrzymali się w Kutnie, gdzie otrzymał swój stopień wojskowy oraz zostawił wszczep, który znalazł w resztkach robota pod Toruniem oraz prototypową bombę. Jechali ciężarówką, słuchając jakiejś rozrywkowej muzyki na Czwartym

Kanale, dojeżdżając do Radomia przed osiemnastą. Kilka kilometrów od celu radio umilkło i usłyszeli krótki komunikat.

— Tu Radom, tu Radom. Czerwone zero, powtarzam czerwone zero. Do wszystkich jednostek militarnych w okolic, czerwone zero Radom, czerwone zero Radom.

— Co to znaczy? — Rorsarch spytał kierowcę, który nagle przyspieszył.

— Czerwone zero to kod alarmowy, na wypadek ataku wrogich sił na jakąkolwiek osadę. Cokolwiek to jest, Radom nie daje rady się obronić.

Dojeżdżali już do celu, gdy z daleka dało się zauważyć dym a zaraz później usłyszeli strzały z przeróżnych broni. Rorsarch spojrzął przez lornetkę i zobaczył kilkaset robotów, ciężko opancerzonych i uzbrojonych, starających się zniszczyć mur. Ciężarówka dojechała do muru, kierowca ostro zakręcił i żołnierze momentalnie wysypali się z paki, wbiegając przez otwartą bramę do miasta. Rorsarch, nie zwlekając, uczynił to samo. Jeszcze w ciężarówce zdążył usłyszeć kolejną historię, kolejny element układanki, który uzupełni jego obraz przeszłości kraju.